

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

49

Pociąg biegł. Minęła godzina jedna, druga... aż wreszcie i Jurka zmorzył sen. Głowa opadła mu na piersi i zadrzemał.

ROZDZIAŁ XVI.

Złotoróżany, niezwykle ciepły, upalny dzień zwiastujący poranek wstawał nad miastem, kiedy Józia, trzymając w ręku swoją walizeczkę, znalazła się przed dworcem krakowskim.

Wyspała się doskonale w wagonie, to też czuła się świeża, wypoczęta, rześwa. Cera jej nawet zaróżowiła się lekko, a oczy, błyszczące jak turkusy, przepromienione słońcem, śmiały się do blasków wschodzącego dnia, do odrapanych murów dworca, do brudnych kamieni bruku, do obwisłych łbów koni dorożkarskich, nawet do zamkniętego jeszcze kiosku z owocami i wodą sodową.

Jak dziecko cieszyła się myślą o dniu, który ją czekał. Oto stoi na bruku krakowskim, daleko od zniechęconego swego pokoju w Łukowie. Wie, że nie zobaczy dzisiaj ani jutro pani Żarnickiej, ani Joasi, ani Loli, że nie posłysz ich uszczypliwych uwag, że nie będzie kurczyła się pod smaganiem ich uraglowych uśmiechów i wrogich spojrzeń.

Jest dzisiaj swobodna, przynajmniej dzisiaj i chce być bardzo wesola. Teraz czeka na Jurka, który jako żołnierz, musi na stacyi załatwić wojskowe formalności.

Nareszcie jest!

— Widzi pan, co za piękny poranek! Aż śmieje się do nas.

— Będzie upał!

— Niech sobie będzie. Nic nie szkodzi. Bardzo lubię upał — zapewnia Józia. — Ale żeby pan wiedział, jak ja się cieszę, że jestem w Krakowie! Jaki kochany ten Kraków! Sirasnie lubię Kraków!

Józia jest w takim usposobieniu, że gotowa lubić wszystko. Jurka także, nawet bardzo, bardzo.

W świeżem powietrzu poranka, drgającym już, ale jeszcze nie przegrzanem promieniami słońca, rozlega się melodia poważna, uroczysta, do głębi serca przejmująca. To hejnał z wieży Maryackiej.

— Hejnał! O! Hejnał!... — wykrzykuje Józia — Jak ja lubię hejnał!...

— Tego niema nigdzie na świecie... To takie nasze... polskie... jedyne... — szepcze Jurk.

— Cicho!... Słuchajmy...

Stoją przez chwilę zasluchani, dopóki hejnał nie umilkł.

— Chodźmy!

— Ba! Ale gdzie?... Tak wcześnie bramy jeszcze pozamykane... W domu u ojca śpią wszyscy... Pańska mama zapewne także...

Jurek nie miał wcale zmartwionej miny, bo nie spieszyło mu się rozstawać z Józją i rad był tej odwołce.

— To przeczekamy.

— A gdzie?

— A choćby na plantach... Posiedzimy sobie na ławce.

— Wybornie!

— Tylko pani głodna — kłopotał się Jurek — a ja w plecaku już nic nie mam... Gdzieby tu teraz dostać coś do zjedzenia?!

— A cóż to? Pan mnie ma za takiego obżartucha, że nie mogę poczekać na śniadanie godzinę czy dwie, albo nawet trzy?!

— Zaraz... zaraz... — zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

— Jest! O! Jest!... Widzi pani... dobrze, że sobie przypomniałem! — tryumfująco pokazywał jej małą paczuszkę, białym papierem owiniętą.

— A co to takiego?

— Piernik przekładany konfiturami!... Py-szności!... Spróbuj pani...

— A pieczonych gołąbków, albo ananasów, w cukrze osmażonych, nie ma pan tam przypakując przy sobie? — żartowała Józia.

Zbliżyła się do nich teraz jakaś kobiecina w ubraniu góralki, ze sporym tobołem na przegarbionych już, ale jeszcze krzepkich barkach.

— Nie wiem też pan, ka tu jest „festunk-szpital“? — zapytała nieśmiało, rzucając wokół lękliwe, zdumione spojrzenia.

— „Festung-szpital“? — zapytał Jurek — A jaka liczba?

— Licba? — powtórzyła, nie rozumiejąc wiodcznie.

— No, jaki numer?

— Lumer?... Mój panicku złoty, kie jo nie naucno na lumerach...

— Przyjechaliście odwiedzić tutaj kogoś?... Macie kogo w szpitalu?...

— A juści, ze mom... Syna, panicku złoty... Trzy roki bedzie, jak z cysarskimi poszed... A teraz we szpitalu jest. A cy bych to jechała, kieby nie on.. a cy bych to stare kości moje wlekła do kuleje... do te dyabelskie masyny... A com strachu użyła, jak to tak fucalo... — rozgadała się płaczliwie.

Jurek i Józia mimowolnie roześmiali się.

— Pierwszy raz jechaliście koleją, matu-siu?... — zagadła Józia.

— A piersy roz!... A dy dyabliby mnie gnali w teli świat, żeby nie syn... Ale jakże, syn na wojnie był, a teraz we szpitalu...

— To i w Krakowie pierwszy raz jesteście?

— A cy to ja miałak cas ku Krakowu jeździć?! — odpowiedziała babina, rozglądając się z coraz to większym podziwem.

Widocznie ruch na placu przed dworcem, choć nie nazbyt jeszcze ożywiony, wprawiał ją w zdumienie.

— Cy to Jarmarek będzie?

— Ależ nie...

— To i przez co telo ludu sie kręci i wozy z kuniami stojom?...

— Bo tu zawsze tak... W mieście inaczej, niż na wsi... — tłumaczył Jurek.

— To tu ludzie widać nie dużo do roboty majom, kie sie im tak chodzić kce...

— A skądście wy? — rzuciła pytanie Józia.

— Aże od Tymbarku, pani ko, od Tymbarku, a jakże... Do syna przyjechałak, co we szpitalu jest... Jeść mu wiozę co, nieco... i chlebusia kawalek i syrek... i masta osetkę... Może ta biedota głód cierpi... Chciałabym co najpiędy do niego... Tak, prosem pięknie, ka jest ten „Festunk-szpital“?

Jurek namyślał się chwilę, w jaki sposób dopomódz góralce.

— Macie wy jaką kartkę od syna ze szpitala?

— Ady mam, panicku...

— Przy sobie?

— A juści...

— Pokażcie mi...

Uniosła nieco nakrochmaloną wierzchnią spódnice i zanurzyła rękę w głębokiej kieszeni. Wyjęła pomietą, białą kartkę i podała ją Legioniście.

— Niekze panicek przeczytajom...

Wziął kartkę do ręki. Było to drukowane zawiadomienie ze szpitala.

W odnośnej rubryce Jurek przeczytał: „ciężko ranny“. Odnalazł numer szpitala i zaczął kobietę objaśniać.

— Poczekacie na tramwaj i pojedziecie tramwajem aż do...

Wybaluszyła na niego zdumione, ogłupiałe oczy.

— „Trabaj“? A cóż to takiego, ten „trabaj“.

— To taki wóz bez koni, co was do samego szpitala zawiezie...

— Znowuś bez koni? O! Utrapienie Boskie z temi „masinami“... Panicku, kie jo sie boję!...

— Ależ, nie macie się czego bać!... Tutaj wszyscy tak jeżdżą.

— A niekta, kie tak nauceni!... Ale mnie rzeknijcie ino, ka ten szpital, to jo już na piekty wolę!...

Trwało to dobrą chwilę, zanim zdołali ją przekonać, że tramwaj szybciej i pewniej dowiezie ją do szpitala... Ostatecznie zgodziła się na jazdę, ale znać było po niej, że nie zupełnie dowierza temu nieznanemu środkowi lokomocyi.

Zaprowadzili kobiecinę do przystanku tramwajowego, a ponieważ tramwaje nie kursowały jeszcze, wytłumaczyli jej, że ma stać i czekać, dopóki wóz nie nadjedzie.

— A juści, siadne se i zapytom sie te panie, co sprzedaje „bielety“, ka wysiednąć... A juści, siadne i zapytom sie... — powtarzała ogłuszona, oszołomiona budzącym się gwarem i ruchem, zdumiona brukiem ulic, szynami tramwajowymi, rozmiarami domów — wszystkim tem, co dla niej, która oprócz swojej wsi i kilku sąsiednich,

znała tylko małe, jarmarczne miasteczko, stanowiło świat zupełnie nowy.

Podziwiała, ale bała się... Daleko więcej bała się, niż podziwiała.

Usta gapiowało otworła i wystraszoną wzrokiem błędziła dokoła.

W zamieszaniu swoim zapomniła nawet podziękować „panickowi“ i „panicce“.

Jurek i Józia szli tymczasem dalej ulicą, zmierzając w stronę plant.

Słońce zaczynało już dobrze przygrzewać i powodzą złotych blasków zalewało bruki i mury domów, spływało ciepłą pieśczęcią na głowy ludzkie.

Wzdłuż ulicy ciągnął się długi sznur, ustawionych w pary osób. Kobiety, dzieci, starcy. Sznur ten poczynał się u zamkniętych drzwi piekarni, a wybiegał daleko poza nią i zakręcał w przecznice.

Jedna z kobiet trzymała na ręku małe dziecko, które krzyczało wniebogłosy, prawdopodobnie dopominając się o śniadanie.

— Cicho, jagódko!... Cicho robaczku mój biedny!... Kupi mamusia chlebka, da ci, będziesz jadł!... — głaskała matka dziecko po obręklej, żółtawej buzi.

Mały nie przestawał krzyczeć.

— A zatkajże pani gębę temu bechowi, bo wrzeszczy, aż uszy bolą!... — ozwała się jakaś dziewczyna z prefensjonalnie zakręconą grzywką.

Kobieta z dzieckiem na ręku cisnęła się, jak oparzona.

— A ty suko wściekła!... a ty pomiośło świński! To ty mojemu dziecku będziesz mówiła „bech“!... A ty wiesz, co to znaczy dziecko?...

— U wa!... Wielkie rzeczy dziecko!...

— Dzieci nie dla takich, jak ty, małpo pie-rońską!...

— Ja ci tu dam małpę...

— Stul pysk, bo ci wydrę te kudły pokręcone!...

— Cichoście, no panie, cichoście, bo wstyd i obraza Boska!...

— Niedość, że ludzie znosić muszą tyle, jeszczeby się pomiędzy sobą gryźli, jak psy?...

— Proszę o spokój!... — flegmatycznie odezwał się policjant, pilnujący porządku.

Kłójące się kobiety przycichły, tylko obrażona matka warczała jeszcze przez długą chwilę półgłosem jakieś obelgi.

Tłum czekał. Cekał cierpliwie, przyzwyczajony już od miesięcy do tego wystawiania pod zamkniętymi drzwiami sklepów, do tej żebraniny o dobrze zapłacony, a gorzki, lepki, niesmaczny kawałek „wojennego“ chleba, do tej gonitwy za ziemniakami, za mlekiem, za wszystkim, co do zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia konieczne.

Jakaś kobieta, o twarzy przedwcześnie porysowanej zmarszczkami, o ziemistej cerze i wąskich, zaciśniętych zgrzyzotą ustach, zaczyna kłać straszliwie, wynajdując najbardziej nieoczekiwane, najwyszukańsze przekleństwa.

— Nie klnij pan! — upomina ją ktoś — lepiej prosić Boga, żeby już raz okazał zmiłowanie!...

— Teraz to człowiek, zamiast modlitwy, to przekleństwo ma!... Jakże tu prosić: „chleba powszedniego daj nam dzisiaj“... kiedy człowieka zbiera ochota krzyczeć: „a karty chlebowe ja-snym pieronem racz spalić Panie!...“

— O! To prawda, prawda!...

— Karty to nam dali i najedźże się tu kartami!...

— Ale są tacy, co wszystko mają!...

— Coby nie!

Mały chłopak, stojący w jednej z pierwszych par, poczyną płakać głośno.

— A czego ty buczysz?!

— A bo mnie tak nogi bolą!... Uuu!... Od trzeciej godziny stoję!... Mamusia kała, bo ani kawałtka chleba w domu nie mam!... Uuu!... Nogi mnie bolą!...

— Cicho bądź, cicho!... Nie drzyj się!... Nie drzyj się!... Nie ciebie jednego!...

— Co to? — pyta Józia, wskazując towarzysza łańcuch ludzki, który powiększa się, narasta z każdą niemal chwilą.

— Jaki? Nie wie pani?... „Ogonek“ chlebowy... Ci ludzie czekają tak już od kilku godzin na otwarcie piekarni... I prawdopodobnie polowa z nich odejdzie bez chleba — głodna!... — mówi Jurek, a usta drgają mu wyrazem gorczy.

— Aaa!...